№ 14 WARSZAWA d. 23 Marca (4 Kwietnia) ROKU 1874

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

ECHA KARNAWAŁU.

I.

PO BALU.

Dźwięk, blaski, szelest, gwar
Tętnią w duchu jeszcze,
Tyle wabnych złudnych mar
Wciąż oczyma pieszczę.

Tyle wspomnień w myśli miga
Jak po burzy błyskawice,
Czarne chmury, me tęsknice
Wyobraźnia ściga,
Jako wicher rozszalały!

Ale chmury się rozwiały,
Jakiś tuman świetny, śniący,
W tysiąc iskier gorejący,
Lekki szelest, miły szmer,
Brzęk muzyki, kwiatów woń,
Obejmuje mię, jak toń,
I do innych wznosi sfer!

Ni to niebo, ni na ziemi,
Gdzież ja byłam, gdzie?
Śniłam snami uroczemi...
Ah! ja jeszcze śnię!

Harmonijne brzmienie
Zmysły czarowało,
Dziwne uniesienie
Piersią falowało,
Wirowałam bez końca
Nie w niebie, nie na ziemi,
Przed oczyma memi
Niby blaski słońca
Drgały tysiącznem odbiciem;
Tęcza snuła się w około,
Jak szalenie!.. jak wesoło!
Tańcem życie, taniec życiem!..

Bóle i troski!..
Ja nie wiem wcale!
Ja jestem w szale!..
Moment to boski!
Nie cierpię.. nie czuję!..
Lotniejsza od ptaka
Wiruję, wzlatuję..
Wysoko—w dal!..

Oh! miłe wspomnienie
Oh! cudne marzenie!
Niech żyje bal!

II.

NA MASKARADZIE.

O! maskarada! o! maskarada!
Jakież to tłumy, szelest, i gwary!
Maski się snują, chwytają w pary,
Kłamanym głosem każdaby rada
Złudzić, tumanić, może się głowa
Zawróci komu? morze uwierzy
Zręcznej intrydze? Kłamane słowa
Weźmie za prawdę? Na tem zależy
Cel, i przyjemność całej zabawy!
Więc to zabawa?.. a mnie się zdało
Że to inaczej nazwać przystało,
Że to codzienne życiowe sprawy
Nadzwykłą mocą wzięte w streszczeniu,
Przed mojem okiem toczą swe biegi!
I ciągle jeszcze trwam w podejrzeniu,
Patrząc na masek długie szeregi,
Zważając ruchy, słysząc rozmowy...
Nie! mnie już trudno jest podejść zdradą!
Wiem, mam przed sobą obraz życiowy...
Lub... życie całe jest maskaradą!

Maryja Szeliga.

O różnych metodach nauczania.

Rozmaite, dotychczas znane metody nauczania można odnieść do dwóch działów zupełnie odrębnych, z których jednemu nadano nazwę analitycznego, drugiemu syntetycznego. Pierwszy zasadza się na poznaniu całości, a później zejściu do szczegółów, drug rozpoczyna od szczegółów, a później stopniowo dochodzi do pojęcia całości.

Nauka naprzykład geografii jakiego kraju pojedynczego, wyłożoną jest sposobem syntetycznym, jeżeli opowiada przedewszystkiem o miejscu, które zamieszkujemy, później przechodzi do gminy, powiatu itd. aż nareszcie daje wyobrażenie całego państwa. Jest wyłożona sposobem analitycznym, jeżeli najprzód daje ogólny opis państwa, a później przechodzi do powiatów i gmin.

Podobnie w nauce zwanej Chemią, analiza całość rozkłada na pierwiastki, jeżeli zaś te pierwiastki zbiera dla wytworzenia dawniejszego ciała, w takim razie następuje synteza.

Metody nauczania tak syntetyczne jakoteż analityczne są albo ogólne, albo szczegółowe.

Są ogólnemi jeżeli je można odnieść do wszystkich gałęzi nauczania, są szczegółowemi, jeżeli wytworzonemi zostały dla jednej tylko nauki i jeżeli tylko względem niej mogą mieć zastosowanie.

Metody ogólne, oznaczone są nazwiskami ich twórców: Sokratesa, Pestalozzi'ego, Girard, Jacotot księdza Gaultier, albo też przez miano oznaczające ich myśl przewodnią, a w takim razie używane są nazwy: me-

toda dochodzenia czyli poszukiwania, metoda zmysłowa czyli oczna, metoda moralna, metoda ogólna i naturalna, nareszcie metoda bawiąca.

Tak nazwana metoda poszukiwania wytworzoną została przez Sokratesa. Rozwijając zasady moralności dotykał on najważniejszych pytań filozoficznych, a ponieważ uczniowie jego byli już młodzieńcami dorosłymi, tem więc samem sposób jego wykładu był dla ich umysłów jak najzupełniej przystępnym.

Metoda jednak tego rodzaju może być zastosowaną w wielu razach korzystnie i przy początkowem nauczaniu.

Starożytny ten mędrzec czynił zapytania ustne i niespodziane, stopniowo wznosił umysły swoich słuchaczy do coraz wyższych pojęć sprawiedliwości, pobożności i cnoty. Zapytanie jakieś było stawionem do rozwiązania, uczniowie początkowo nie umieli go rozwiązać; wówczas Sokrates z jednego zapytania czynił kilkadziesiąt, odnoszących się do jednego i tego samego przedmiotu, a czyniąc rozmaite uwagi wznosił umysły uczni tak, że sami nareszcie roztrzygali zagadkę. Wówczas nauczyciel rozproszone myśli sprowadzał do jednej całości, poprawiał błędy, wypełniał niedostatki, wprowadzając uczni prawie bez ich wiedzy na wyższy szczebel wiadomości. Jeden z uczonych w ten sposób mówi o Sokratesie: umiejętność zajęcia umysłów słuchaczy i prowadzenia ich od jednej uwagi do drugiej, od jednego odkrycia do drugiego, jest niezaprzeczenie największym dowodem potęgi jego gienjuszu.

Metoda ta użyta umiejętnie wywołuje dwa ważne następstwa: najprzód rozwija nadzwyczajnie umysł; powtóre zachęca ucznia i daje mu wiarę we własne siły, ponieważ zdaje mu się, że własną pracą zdobył nową prawdę w dziedzinie nauki.

Podobny jednak system nauczania w ogóle nie jest w użyciu z różnych względów: wymaga on bowiem niepospolitych nauczycieli, posiadających bardzo rozległe i rozmaite wiadomości; uczni zdolnych mogących wytrzymać niezwykłe natężenie umysłu, a nareszcie wykładów bez porównania dłuższych aniżeli to ma miejsce zazwyczaj. Owocem jednak tej metody są książeczki nazywane Katechizmami, ułożone w kształcie pytań i odpowiedzi.

Tym jednak sposobem usunięto niejako osobistą pracę ucznia. Metoda Sokratesa oddziaływa bezpośrednio na umysł, metoda katechizmowa zaostrza jedynie pamięć ucznia, pozostawiając nauczycielowi obowiązek rozwijania zdobytej prawdy i wykształcania umysłu. Objaśnienia te o tyle są korzystnemi, o ile poprzedzają naukę pamięciową, w razie przeciwnym pozostają bez najmniejszego skutku. W miarę jednak wieku uczni i ich zdolności, należy zawsze w pewnym stopniu wyzywać ich do wyszukiwania nowych prawd.

Nauczyciel tłomaczący wszystko, jest również nieumiejętnym jak i niechcący udzielić najmniejszych objaśnień.

Przejdziemy teraz do metody zmysłowej czyli ocznej nazywanej intuicyjną, *intuitive*.

Wytworzył ją profesor Pestalozzi, słynny profesor szwajcarski urodzony w roku 1755 a zmarły w roku 1825.

Wedle niego podstawą wykładu początkowego jest intuitia, będąca środkiem ogólnym do zdobycia wiadomości i rozwinięcia umysłu ludzkiego w sposób najwłaściwszy. Chce on wywołać sąd dziecka przemawiając do jego wzroku.

Wyraz intuicia, *intutition* pochodzi od wyrazu łacińskiego intueri, patrzeć. Intuitia jest pojęciem wywołanem przez zmysły. Metoda jest intuicyjna skoro polega na pojmowaniu przedmiotów za pośrednictwem wzroku.

Chciał on, aby pokazywano dziecięciu jak najwięcej przedmiotów, aby ich liczyło, nauczyło się ich nazw, aby oznaczało ich kształt i wzajemny stosunek wymiarów, aby je rysowało z różnych stron i w razie potrzeby obliczało ciężar i objętość itd. Nadto wymagał nadzwyczajnej dokładności w wyrażaniu określeń, aby tym sposobem wpoić wcześnie w umysł młodzieńczy wielką ważność przywiązaną do znaczenia wyrazów.

Juljan Paroz dyrektor szkoły normalnej w Grandchamp w Szwajcaryi wyraża się o tej metodzie w następujący sposób.

„Pestalozzi wykrył, że liczba, kształt i nazwisko, są głównemi własnościami przedmiotów, od których zawisły wszystkie inne.

„Skoro nam są przedstawione jakieś przedmioty, w takim razie nasza uwaga zwróconą jest na ich liczbę, na kształt i na miary ich oznaczające".

„Pestalozzi wyprowadził z tego wniosek, że nauki liczb, kształtów i języka powinny być głównemi gałęziami początkowego nauczania, ponieważ odpowiadają trzem najważniejszem zdolnościom naszego umysłu, to jest zdolności liczenia, mierzenia i zachowywania w pamięci nazw przedmiotów poznanych".

„Nauka liczb dała początek arytmetyce, tak jak nauka kształtów wytworzyła geometrją, rysunek i pismo, z których ostatnie jest tylko szczegółowem zastosowaniem rysunku, tak jak ten znowu jest przeniesieniem różnych kształtów na papier za pośrednictwem ołówka.

„Nauka języka rozdzieloną była przez Pestalozzego na trzy części: naprzód wymowa, mająca na celu wykształcenia organów głosu, a do tego działu należy także i śpiew: znajomość wyrazów używanych najczęściej w nauczaniu; po trzecie, język właściwy mający na celu wyrażenie myśli dotyczących przedmiotów podpadających pod nasze zmysły, lub pod pojęcia naszego umysłu.

Ta część trzecia w sposobie jego nauczania była najsłabszą.

„Pestalozzi powinien był uważać język jako naukę odrębną, która niezaprzeczenie wymaga wsparcia od innych gałęzi naukowych, ale nie powinna bynajmniej pochłaniać takowych. Podział jego jest niedostatecznym. Liczba, kształt i nazwisko nie są jeszcze własnościami ogólnemi przedmiotów, jakiż jest kształt naprzykład powietrza, gorąca lub zimna."

„W metodzie tej religija nie znajduje właściwego pomieszczenia. Pestalozzi nie patrzy na nią jako odrębną gałęź naukową, ale jako na środek kształcący i oddziałujący samoistnie. Metodę podobną można przyjąć jedynie w zasadzie, ale w zastosowaniu zawiera ona wiele błędów i niedostatków. Dotyka bardzo pobieżnie środków, zmierzających do wykształcenia rozumu i serca, a zwraca wszystkie usiłowania do rozwinięcia jedynie rozumu."

„Pestalozzi był pedagogiem jedynie tylko z miłości bliźniego. Zbawienie ludzkości upatrywał w rozwoju zdolności umysłowych pojedynczych ludzi. Można przyjąć podobną zasadę, ale pod warunkiem, że nauka ewangielii stawioną będzie na czele wszelkich środków, zmierzających do wykształcenia człowieka. Nie znał lub nie zgłębił dostatecznie owego sklepienia, bez którego budynek choćby najpiękniejszy, pozbawionym będzie najważniejszego przymiotu bo trwałości."

„Metoda ta wprowadzała zasadę uważaną dzisiaj za dziwaczną, usunięcia wszelkiego współzawodnictwa pomiędzy uczniami jako środka niemoralnego. Chciał on wpoić w umysły młodzieży zamiłowanie pracy przez miłość dobra, ale nie w widokach jakiejś nadgrody. „Moralność tego rodzaju mówi, pan Laurent de Jussieu bezwątpienia jest nadzwyczajnie wzniosła, i serca nasze przejęte są uczuciem poszanowania dla zacnego Pestalozziego. Dzieci jednak nasze nie są aniołami. Człowiek jest tak stworzonym, że sama miłość dobra nie zawsze jest dla niego wystarczającą pobudką do działania."

Pestalozzi jako twórca jest niezaprzeczenie człowiekiem gienialnym, nadał on sztuce nauczania nowy kierunek i od lat kilku dziesięciu jesteśmy jego naśladowcami: uczynił on nauczanie praktycznem, zniewalając umysły młodzieży do głębokiego badania ukazanych przedmiotów.

Następcy jego udoskonalili dzieło swego mistrza, wypełniając niedostatki przez wprowadzenie do metody ówczesnej ciepła, koniecznego dla rozwoju serca i duszy, bez których człowiek jest niczem inszem jak tylko machiną znakomicie urządzoną; powtóre przez oparcie nauczania na współzawodnictwie, bez którego działalność ludzka pozbawioną jest koniecznego zapału.

Naukowy rozkład Pestalozzego jest następujący:

1-sze ćwiczenie. Prosta nazwa przedmiotów szczególniej ciała człowieka i części składających takowe.

2-gie ćwiczenie. Układ części i stosunek takowych do całości szczególniej w ciele ludzkiem.

3-cie ćwiczenie. Wzajemny stosunek części i związek ich z całością: głowa naprzykład jest częścią ciała; twarz jest częścią głowy; głowa jest siedliskiem woli i działalności itd.

4-te ćwiczenie. Wymienienie względnej liczby części ciała: dwoje oczów, cztery powieki, dwie ręce, dziesięć palcy, dwadzieścia osiem zagięć w palcach itd.

5-te ćwiczenie. Przymioty i własności różnych przedmiotów i zmiany spowodowane ruchem lub wrażeniem.

6-te ćwiczenie. Nauka podobieństwa i wzajemnych stosunków.

7-me ćwiczenie. Działalność właściwa rozmaitym częściom ciała.

8-me ćwiczenie. Nauka o potrzebach dziecka i o najwłaściwszem zaspokojeniu takowych.

9-te ćwiczenie. Porównanie rozmaitych części ciała względnie do ich działalności i użytku.

10-te ćwiczenie. Powtórzenie ogólne. Opis dokładny przedmiotów poznanych a szczególniej ciała ludzkiego.

Następujące trzy przepisy są podstawą całego systematu:

1. Metoda nauczania prowadzoną być powinna w ten sposób, tak jak gdyby Opatrzność uosobioną była w nauczycielu, który wyobrażać powinien dobroć, sprawiedliwość, mądrość, aby temi drogami prowadzić uczni, powierzonych jego pieczy, od szczęścia ziemskiego do trwałego szczęścia przyszłego żywota.

2. Matka spełniająca swoje zadanie w całem znaczeniu tego wyrazu, jest najlepszym wzorem nauczania, którego zadaniem jest przeprowadzenie dziecka z łona rodziny na łono całego społeczeństwa, ale w sposób nieznaczny tak, aby takowe nie uczuło braku wpływu i opieki macierzystej.

3. Wykształcenie powinno mieć na celu obudzanie nie tylko uwagi ale i uczucia w różnych kierunkach, tak aby same przedmiota, ale nie ich obrazy pojęte i odczute były przez ucznia.

(d. c. n.)

LALKI.

SCENY PRZEDŚLUBNE

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Inter calicem et os multa cadunt.
Przysłowie.

(Dalszy ciąg.)

Portret ten schowany do kieszeni w niezmiernie zły humor wprawił hrabiego. Czuł że w obec niego karykatury pełzły, i że on był zapłatą za złośliwość z jaką swych rywalów odwzorował...

— Ten jegomość za wiele sobie pozwala, pomyślał—lecz, cierpliwości, wiecznie tu przecież siedzieć nie będzie.

Tak spłynął długi wieczór, nieznośny dla Loli szczególniej, oglądającej się na zegar ciągle, aby godzinę pożegnania przyspieszyć...

Hrabia Roman, który czuł się w obowiązku dosiedzieć do ostatnich krańców czasu, jaki przyzwoitość oznaczała, nie opuścił salonu aż o jedenastej, namyśliwszy się, że na wsi mogła to być godzina spoczynku. Wątpliwość miał czyliby dłużej jeszcze nie należało nudzić panny, na którą nadaremnie spoglądał, nigdzie się z jej wzrokiem spotkać nie mogąc—lecz Herma zaczęła znacząco składać robotę i on wziąść musiał za kapelusz...

Nieczujski szukał swojego także, gdy Lola dała mu znak nakazujący aby pozostał... Odchodząc Roman rzucił nań wejrzenie jak sztyletem przeszywające, i zdala mu tylko głową kiwnąć raczył...

Na wschodach słychać było krok odchodzącego Romana, gdy Baronówna załamała ręce i zawołała do Adolfa.

— Zmiłuj się pan, powiedz mi co ja mam począć... z kilku słów hrabiny domyślam się, że tu wkrótce całe sąsiedztwo w Gromach przyjąć będę musiała. Rozdrażni to mojego opiekuna, do rozpaczy doprowadzi hr. Romana... a mnie na śmierć zamęczy.

— Trochę cierpliwości—rzekł uśmiechając się zapytany. Co to pani szkodzi? Czyżby pani wolała przez kilka dni siedzieć *tête-a-tête* z hr. Romanem?

— A! niech Bóg uchowa!!

Herma się śmiała.

—Mnie by się zdawało, że toby było raczej do życzenia niż strasznem....

—Byłaby to zabawka, rozrywka, może nawet zajmujące dla pani studium. Daruje mi pani, że się mięszam w nie swoje sprawy, ale zostałem wyzwany, będę więc otwartym. Nadzwyczaj niezręcznie komedyą gram i wolę szczerze mówić co myślę...

— Ale mów pan, mów proszę! żywo zaczęła Lola.

— Hrabia Roman nie jest pani tak nadzwyczaj miłym, ażeby już z nim nikt współzawodniczyć nie mógł, mówił spokojnie Nieczujski. Dla czegóżby pani nie chciała rozpatrzeć się w innych, widocznie stojących w rzędzie konkurentów? Może być, że pani uczynisz między niemi wybór szczęśliwszy.

Lola głową potrząsła i spuściła oczy...

— Za to ręczyć nie można, ciągnął dalej Nieczujski. Któż wie? Tu idzie o życie całe i przyszłość—nie godzi się ich poświęcać dla grzeczności względem opiekuna...

— Ma zupełną słuszność! wtrąciła Herma żartobliwie—Cóż mówisz o Bończy...

— Moja droga Hermo! zakrzyknęła Lola—proszę cię!!

— A hr. Ildefons, nie wyglądaż majestatycznie z tą młodocianą łysiną podwyższającą mu czoło i nadającą jego fiziognomii takiż wyraz myślący.

Lola wzdrygnęła się, nie odpowiadając.

— I nie rozczula cię hrabina mama, z tą tkliwością dla ciebie, ze swemi wspomnieniami dzieciństwa, gdyście z Ildefonskiem igrali razem...

— Tego nigdy w świecie nie było! zaprotestowała Lola, nigdy Ildefonsek ów nie był u nas...

Spojrzała rozpaczliwie prawie na Hermę i Nieczujskiego.

— Kogoż się jeszcze możemy spodziewać? spytała...

— Ja tak dobrze sąsiedztwa nie znam, ale Ciocia Nieczujska.

Kapitanowa kończąca drut w pończosze i siedząca w kątku, westchnęła.

— O to! to! rzekła, jeśli wszyscy jechać zechcą, zawiędłych i świeżych kawalerów nie zabraknie.

— Naprzykład, nalegała Herma, niech Ciocia tę staroświecką pończochę porzuci i da nam przedsmak przyszłych naszych rozkoszy.

— Czekajcież, muszę myślą przebiedz okolicę, mówiła z drutem w zębach Ciocia Kapitanowa. A no! Naprzód pan Modest baron Leliwa. Tego tak pełno wszędzie, iż niesposób żeby się tu nie wkręcił.

— Znam go, dodała Herma. Młodzież nazywa go Bąkiem, bo się jak bąk ciągle kręci, a może iż bąki strzela. Dalej Ciociu.

— Jest jeszcze Herman Pniewski, posłem zwany.

— Cóż chcecie, wcale przyzwoicie nudny człowiek, wtrąciła Herma.

— I Rębaczewski, który Grochówkę tak przyozdobił... że na ogród pono długi zaciągał, człek z gustem...

— Przejeżdżając admiruję zawsze chiński domek w jego ogrodzie... żywcem z pudełka od herbaty.

— Na ostatek hr. Nepomucen... hrabia Nepomucen, szambelanic.

— I tego znam, dodała Herma... Ziewa strasznie...

Lola słuchała, Nieczujski stał milczący.

— Ale bo pani dobra, odezwał się do Hermy, zbyt jesteś surową. Juściż niepodobna, aby, licząc z Bończą, jeśli się nie mylę, między sześcią jeden się nie znalazł, o którymby coś dobrego powiedzieć nie można było.

— Nie o jednym o każdym powiem panu coś dobrego, żywo odcięła się Herma, a jednak z tych sześciu jabym wybrała chyba siódmego.

— Jakto? hrabiego Romana...? zapytał Nieczujski.

— O! ten się nie liczy, to urzędowy nudziarz.

Milczenie trwało przez chwilę.

Lola machinalnie rozłożyła kalendarz i szukała w nim, jak się zdawało wielejeszcze dni swobody pozostawało.

Biegły z taką niepoścignioną szybkością.

Po powrocie z Gromów pani hrabina Bramińska, przez całę drogę nic się od zadumanego syna niemogąc dopytać, z bólem głowy siedziała na kanapie. Wstydziła się ona tego defektu przed ludźmi obcemi, lecz gdy nie było świadków, porzuciwszy robotę, szczególniej w stanowczych życia chwilach, lubiła ciągnąć kabałę. I teraz z głową związaną chusteczką po staroświecku w szafranie ufarbowaną, pilnie rozkładała karty, gdy syn wszedł przebrawszy się zadumany wielce, trąc włosy których nie miał i usiadł na przeciwko niej.

Westchnęli oboje spoglądając na siebie.

— Cóż ty mówisz? spytała matka, która w rozumie syna najgłębszą pokładała wiarę.

Ildefons głową zlekka potrząsł.

— Nie łatwa to rzecz coś o tem powiedzieć, począł nieco ochrypłym głosem, o to! o to! nie łatwa. Skomplikowane tam rzeczy.

— Skomplikowane mówisz?

— Nawet bardzo! mówił jakby do siebie hr. Ildefons. Ja, kochana mamo, lubię wszystko rozważyć, rozważyć i dobrze obrachować.

To nie dosyć, że tam hr. Roman na przeszkodzie stoi... O niego toby tam zresztą i mniejsza było... żeby tylko z nim się jednym miało do czynienia. Ale, juściż nie darmo siedzi pani Grzegorska, ona tam też kogoś protegować musi. Może Bończę, bo to chytry, przebiegły człek a i na tem nie koniec. No a Ciocia Nieczujska... ta też wpływy mieć musi... a przy niej syn. Jakaś figura niby cicha, ale ja dobrze obserwowałem go... Baronówna często na niego spoglądała, on też. Niby prosty człek, ale temu ufać nie można.

— Mój Boże, jak to ty wszystko zaraz umiesz pojąć! westchnęła hrabina smutnie. Ja czyniłam co mogłam aby ją ująć, przemawiałam do serca, do uczucia, do wspomnień; zimne jakieś stworzenie.

— Ładna panna, wtrącił Ildefons.

— E! żeby znowu tak bardzo ładna, odezwała się matka, zobaczysz jak to prędko zwiędnie i zestarzeje. Ładniejsze Gromy.

Westchnęli oboje, Ildefons zamyślił się głęboko.

— Ja mam coś! rzekł.

— Cóż takiego?

— Ciotkę i jej syna trzebaby ująć. Przez nich by się drogi utarły.

— Ale jak?

— Nie wiem mówił hrabia, tego nie wiem. Ludzie ubodzy, gdyby mieli na widoku korzyść jaką.

— A! to prawda! szepnęła matka, ale jak do nich przystąpić, jak?

— No, nie wiem, zakończył Ildefons zatapiając się w myślach.

Na tem pierwsza narada dnia tego się skończyła. Nazajutrz zaledwie wstali od stołu w Gromach, gdy powóz czterema końmi zaprzężony przywiózł do ganku szambelana hrabiego Dambskiego z synem hrabią Nepomucenem.

Stary był skromnie ubrany we frak czarny, a ordery zawieszone niósł w miniaturze na łańcuszku od niechcenia. Maltański krzyż prawie był klapą przykryty i mało co widoczny.

Gdy oba z wielką pompą wtaczali się na pokoje, hrabia Roman pobladł jak trup i ledwie się mógł powstrzymać od okazania gniewu. Ojciec pełen życia i syn ziewający, milczący, wyglądający na dyplomatę nudzili już przez kwadrans gospodynię a śmieszyli jej przyjaciołkę, gdy nadjechał pan Rębaczewski.

Były to już dwie postacie z odgadniętych przez Ciocię Nieczujską wczoraj. Rębaczewski uczynił takie wrażenie przybyciem swem na oficialnym pretendencie hrabi Romanie, iż ten, chcąc pannie okazać widocznie swoje najwyższe nieukontentowanie z tego najazdu gości, jak mu się zdawało, wywołanego przez nią dla dokuczenia mu tylko, wyniósł się na górę do swojego pokoju i pozbawiwszy ją miłego towarzystwa swojego, w fotelu cygaro palił.

Nie taił on przed sobą, iż to był krok nader śmiały, nadzwyczaj dzielny i niezawodnie wywołać mający otwarte tłomaczenie, rozmowę. Wahał się nawet czy o tym kroku na własną odpowiedzialność przedsięwziętym, nie należało zawiadomić Stryja listem. Zdawało mu się, że tem usunięciem się Baronównę nastraszy. Gdy godzina herbaty wybiła, a Rębaczewski właśnie zabawiał Lolę kreśląc plan zupełnego przeobrażenia parku, poczynając od wycięcia starych drzew, które perspektywę zasłaniały, Lola szepnęła

Nieczujskiej, aby pana Adolfa posłała ściągnąć hr. Romana.

Posłuszny pan Adolf zawahał się, ale poszedł.

Na górze zastał malkontenta rozpartego w krześle z wonnem cygarem.

— Baronówna prosi pana na herbatę! rzekł wszedłszy.

Roman spojrzał zrazu milczący, twarz jego objawiała, iż kaprysić chciała, nie wiedział co dalej począć.

— Mam dreszcze i ból głowy, rzekł namyśliwszy się, jest to moje zwykłe nerwowe cierpienie; raczy pan podziękować za pamięć odemnie i powiedzieć, że chyba *po odjeździe gości* od mojej newralgii będę wolny.

Nacisk mocny położywszy na odjazd gości hrabia sądził, iż uczynił już bardzo wiele. Głową ruch znaczący wykonał, skłonił się i palił cygaro.

— Przyślemy tu panu herbatę, a bodaj i wieczerzę, jeśli newralgia dozwoli jeść, nieco żartobliwie odpowiedział Nieczujski, możeby lepiej było całkiem dziś nie wychodzić.

— O tem mój ból głowy rozstrzygać będzie, zakończył hrabia, nogę na nogę założył i palił.

Był pewny, że panna to uczuje ogromnie. W samej rzeczy obeszło się bez niego, Rębaczewski zabawiał ogrodem, a Szambelan opowiadaniem o nowem Wiednia przeistoczeniu. Lola tego dnia zrezygnowana już, była coraz bardziej milcząca, stary hrabia Dambski zabawiał ją wszakże, bo był człowiekiem mimo swej próżności, miłym i nieskończenie żywszym od syna; który minami i ruchami więcej podsycał rozmowę niż słowy: ani hrabia Modest, ani Rębaczewski nie zachwycili ją wszakże.

Gdy ją pożegnali nad wieczorem, miała dopiero czas zapytać, co się hrabiemu stało.

— Hrabia dostał newralgii, głowa go bolała, rzekł Adolf uśmiechając się, zezwolił nam jednak pocieszać się nadzieją że po odjeździe gości ozdrowieje może.

Herma śmiała się uradowana.

— A! przedziwny! wołała. Szkoda tylko, że nas dwóch karykatur pozbawił.

Jeszcze o tem szeptano, gdy hrabia Roman z wielką powagą wszedł do salonu, dając uczuć Baronównie, iż się czuł obrażonym.

Ją to tylko zniecierpliwiło.

W chwili gdy się towarzystwo rozpierzchło... szepnął zbliżając się, że prosi o chwilę rozmowy.

Lola spokojnie wyszła z nim do sali jadalnej, która stała otworem.

— Nie zdziwi się pani, odezwał się poważnie hrabia, gdy jej wyznam że jestem silnie dotknięty, mocno zasmucony.

— Czem?

— Co znaczy proszę pani ten ciągły najazd na Gromy?

— Nie rozumiem dla czego pan mnie pytasz o to?

— Juściż zdaje mi się że bez zezwolenia jej...

— Daję panu słowo, że nie prosiłam nikogo.

— Lecz to podaje w wątpliwość w oczach ludzi moje położenie.

— Pan masz moje słowo, odezwała się obrażona nieco Lola, lecz ja pana od wszelkich zobowiązań uwolnię, jeśli mu się co we mnie i u mnie nie podoba. Przed opiekunem będę się umiała wytłomaczyć.

Nastąpiło milczenie znaczące.

— Mój stryj, dodał hrabia, miał nadzieję, że przez te dni pani mi się zbliżyć dozwoli i dać poznać.

— Wszak tego panu nikt nie broni.

— Ale jesteśmy ciągle w tłumie natrętów.

— To prawda! cóż ja na to poradzę... odezwała się rozgniewana nieco Baronówna. Wie pan co trzebaby napisać i przybić na bramie, że nie jestem już wolną i że wstęp do mnie dopuszcza się tylko za dozwoleniem opiekuna.

— Pani się gniewa...

— Ja! wcale nie! śmieję się, bo to po prostu śmieszne!

Westchnął hrabia.

— Cóż ja mam począć!

— Jak się panu zdaje.

— Kilkanaście dni takich wizyt... takiego nacisku...

— Każ kartę przybić na bramie! roześmiała się złośliwie Baronówna, a zwracając się nagle ku zdumionemu jej śmiałością Romanowi, dodała: szanowałam i szanuję życzenie ojca i wolę opiekuna, którego kocham, zawarowałam sobie jednak trochę swobody, która mojej ofiary miała być nagrodą. Widzę że pan hrabia już teraz ją chcesz krępować! Cóż będzie potem?

— Ja wcale nie krępuję swobody, wyjąknął hrabia, ja tylko pytam pani o znaczenie tych odwiedzin.

— Zapytaj pan o nie tych co przyjeżdżali, odparła uspokajając się Lola.

— Pani o tem nic nie wiedziała..

Lola się zaczęła śmiać, obrażony Roman skłonił się i rzekł dobranoc. Sądził że to będzie cios stanowczy i ostateczny. Baronówna wróciła powoli do salonu, prawie nie poruszona; okoliczności te zmusiły Romana do wystylizowania listu do stryja. Rozkazał więc panu François, aby dobył tekę podróżną i przyrząd do pisania.

Wybierając się na dni kilka hrabia był nawykły wozić z sobą wszystkie przybory jakich mógł potrzebować, gdyż pospolitym papierem, zwyczajną kopertą, ordynaryjnym atramentem i piórami, jakie się wszędzie spotykają posługiwać się było dlań niepodobieństwem. Jak ubranie jego wymagało mnóstwa przygotowań nader wyszukanych, tak też każda czynność tylko z pewnemi warunkami dopełnianą przez niego być mogła. Portfel, zawierający kancellaryjne przybory był przepyszny, ze skóry juchtowej z herbami i cyframi.

We środku liczne przedziałki mieściły papier z imieniem, cyframi, herbem i papier fantazyjny, takież koperty garniturowe różnych formatów, gdy wedle prawideł papier i koperta bardzo rozmaicie używane być mogą i muszą, a nauka przyzwoitości wskazuje do kogo na półarkuszku a do kogo na półćwiartce pisać się godzi. Hrabia Roman rozłożył wszystko na osobnym stoliku i potrzebował pół godziny do przygotowania się do pisania, nie żeby zebrać myśli, lecz żeby samą czynność odbyć jak należało... Już w chwili przystąpienia do listu, wątpliwość poczuł, czy mu się skarżyć wypadało, i rozwiązał ten węzeł gordyjski niemożnością wyjścia inaczej z nader trudnego położenia. Potrzeba było zawiadomić hrabiego Filipa jak tu rzeczy stały i jak narzeczona była usposobioną. Chociaż oburzony jej postępowaniem, Roman miał czas zwolna ochłonąć i wyrachować, że stryja powinien był jak najchłodniej o tem objaśnić, okazując jak najmniej zazdrości i gniewu. Siadł więc do listu, podłożywszy linijowany papier, dobywszy bibułę, wypróbowawszy pióro. List w formie i rodzaju dziennika zdał mu się najwłaściwszym. Opisał więc przybycie swe, osoby które zastał, odwiedziny jakie nastąpiły, później dotknął rozmowy z Baronówną, ale tę złagodził znacznie. Żądał od hrabiego Filipa aby go wsparł swą radą i przyznawał się otwarcie, iż dotąd nie tylko nie postąpił we względach panny, lecz niemal część ich stracił, jeśli się tak wyrazić godziło. Szło mu źle jednem słowem, a najazd sąsiadów zdawał mu się umyślnym środkiem obronnym, aby zbliżenie utrudnić.

(d. c. n.)

Z Londynu do Liverpoolu

z podróży

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Oczywiście, iż natychmiast pośpieszyłem na tę wystawę. Przed odjazdem polecił mi właściciel hotelu bym także zwiedził wystawę *Kotów*, odbywającą się obecnie w kryształowym pałacu w Sydenham.

— Wystawy niemowląt i kotów! Niedarmo twierdzą ludzie iż Anglicy zdziwaczeli! Któż słyszał w innych krajach o wystawach niemowląt i kotów!

W ogromnej sali wystawia 200 matek swe płaczące dziatki. Gdy niektóre z kobiet mają bliźnięta a jedną nawet Bóg trojgiem dziatwy pobłogosławi, więc pisk tu niepospolity. Kto przy jednej tylko stał kołysce, a zatykał często uszy, oszalałby gdyby 220 krzyków dziecięcych zabrzmiało dokoła.

Sześć poważnych matron krąży pomiędzy tłumem matek z dziećmi. Są to sędziowie, rozdający nagrody, czyli jury.

— Proszę pani, woła jedna matka, mój chłopak ma dopiero 4 miesiące a waży więcej, jak każde inne dziecko w tej sali!

— Moja dziewczynka ma niebieskie oczy, woła druga, i cztery zęby, choć jeszcze kwartał jej nie minął. Urodziła się z zębami proszę pani!

— Moja ma nos grecki i złote włoski i pewno najpiękniejsza w sali; krzyczy opasła niewiasta wyglądająca na przekupkę.

— Każda sowa swe dzieci chwali, odpowiada inna jejmość, długa, chuda i piastująca bębna, który ssie własne palce i patrzy na świat zdziwionym wzrokiem. „Moje dziecko pewnie równie piękne jak sowiątko beznose, które wrzeszczy u twego łona.

— Samaś sową! ty taka, ty owaka! woła urażona matka najpiękniejszej dziewczynki.

Zaczyna się zwada i tylko w skutek wielu zabiegów, udało się widzom namówić obie panie do zawieszenia broni. Dam ja ci, powiada osoba nazwana sową, jeżeli się kiedy spotkam za obrębem wystawy.

W jaki sposób rozsądziły matrony przysięgłe, który bęben najpiękniejszy i najzdrowszy, nie wiem. Trudno też byłoby osądzić który najkrzykliwszy, bo wszystkie tak wrzeszczą iż dziwić się muszę, że tak małe płuca tak silne tony wydają.

Medalów złotych, srebrnych i spiżowych sześć rozdano. Po rozdaniu ich rozsypują się widzowie i wystawcy na wszystkie strony. Jedna z pań, owa której dziecię miało cztery zęby, szuka u wejścia do sali męża a nie mogąc go znaleźć posądza go, iż poszedł do bliskiej piwiarni.

— Niech pan potrzyma me dziecko z łaski swej, powiada do mnie, aż odszukam tego hultaja, który już marnotrawi na piwie cenę srebrnego medala, otrzymanego przez me dziecię.

Patrzę na nią zdziwiony i widzę że bardzo młoda i bardzo ładna. Ktoby mógł odmówić piastowania dziecięcia tak pięknej matki?

Co przyszło do głowy tej kobiecie by mnie obarczyć takim ciężarem? Wszak tu w Anglii ludzie nieczęsto sobie powierzają najmniejszą drobnostkę a tem bardziej dziecko. Czy wyczytała z mych rysów, iż jestem Polakiem i wie że Polak zawsze skłonny do wykonywania rozkazów kobiecych, że każda byle młoda i hoża namówi go do wszystkiego?..

Do dziś nie mogę rozwiązać zagadki, dla czego ta kobieta powierzyła mi swe dziecię, gdy szła szukać

męża, a nie zawołała na policjanta lub nie wzięła niemowlęcia z sobą.

Piastuję bębna i myślę jakby go się pozbyć, bo i płacze i wcale nieprzyzwoicie się zachowuje. Zrazu widzę matkę zaglądającą w okna restauracyi, leżącej po drugiej stronie ulicy, wreszcie znikła mi z oczu na zakręcie.

— „Lulu, lulu! śpij moja maleńka!"

Gdzie tam—ani oka nie zmruży, ani płakać nie przestaje. Lulu, lulu... bodajeś pękła!..

Mija minut pięć, mija dziesięć, matka nie wraca, bęben tak wrzeszczy, że aż szyby się trzęsą w sąsiednich domach. „Lulu, lulu, ratujcie wszyscy święci!" Nie powraca matka—okropna myśl wpada mi do głowy. Może wyrodna ta niewiasta chciała się pozbyć dziecka, powierzając go obcemu? Może wyczytawszy mi z twarzy, iż nie mam zbyt trwardego serca, a z surduta że mi nie zbywa zupełnie na pieniądzach, zostawi mi podrzutka na wieczne czasy?

Co ja z nim pocznę? Gdyby jeszcze chłopiec, możnaby go posłać do Brazylii lub Fidżi i sprzedać w plantacyi bawełny. Lecz dziewczynę!.. słowo daję iż włosy stanęły mi na głowie na myśl, że bez mej winy mogę zostać ni ztąd ni zowąd opiekunem dziecka, co dostało srebrny medal na wystawie niemowląt. Zresztą jak ją zanieść do domu. Gdyby choć Tamiza płynęła blizko, możnaby... Na szczęście zjawia się Konstabel. Jemu powierzam me troski i oddaję dziecię. Nie chce go przyjąć i grozi mi, że mnie zabierze przed sędziego pokoju. Widocznie myśli iż tak go chcę wystrychnąć na dudka, jak mnie wystrychnęła ta niecna białogłowa, wyzuta z uczuć rodzicielskich!

Wreszcie daję mu mój adres i kilka szyllingów na opłacenie fiakra. „Pojedź do mego domu, mówię, zapytaj kto jestem, a przekonasz się że nie mam ani żony ani dzieci, że jestem obcym w Londynie i ofiarą zdradnej niewiasty! Rób co chcesz zresztą ze mną, bylebyś mnie uwolnił od tego malca.

Oddala się Konstabel po fiakra. Zanim znikł z oczu wraca matka i prowadzi jakiegoś przystojnego i krzepkiego mężczyznę za rękę. Ujrzawszy mnie bez dziewczynki woła.

— Moje dziecię, moje dziecię! gdzie moje dziecię? Co zrobiłeś z mą córką?

Daremnie chcę tłomaczyć, że Konstabel wziął dziecię.

— A ty Konstablu, znów krzyczy, oddaj mi moje dziecię!

Ojciec także poczyna się srożyć, przechodnie zatrzymują się, słowem pomagam w odgrywaniu śmiesznej i nieprzyjemnej sceny na ulicy.

Zniecierpliwiony poczynam kląć i wrzeszczyć tak by ją zagłuszyć.

— Pal cię diabli kobieto! Twoje dziecko tam w rękach Konstabla, którego widzisz o sto kroków. Idź do niego i odbierz twoją poczwarę krzykliwą!

— Sameś poczwara! odpowiada.

Krzyk nasz dolatuje Konstabla, wraca więc z cennym ciężarem w ramionach. Następują przeproszenia ze strony ojca, matka rozczula się nad odszukaną zgubą. Nasyciwszy się widokiem dziecka znów zwraca się ku nam i poczyna łajać męża, mówiąc iż z jego winy całe zaszło nieporozumienie.

— Lepiej ci było siedzieć w warsztacie, powiada i skończyć nowy model kotła, jak iść tu ze mną na wystawę. Lecz ty zawsze szukasz wymówki by porzucić pracę, a siedzieć w piwiarni!

Korzystając z przerwy pomiędzy jej wyrzutami i odpowiedzią małżonka i gdy nikt na mnie nie patrzy, wymykam się z pomiędzy dość licznego już tłumu, dopadam do statku i wracam do mej dzielnicy.

Na pokładzie parowca tuż obok mnie, żwawa toczy się rozmowa o wystawie między kilkoma paniami. Dwie z nich, złotowłose i młode Sylfidy, rozczulają się nad pięknością niemowląt, tak poetyczne są i tak chwalą użyteczność podobnych wystaw, iż sam poczynam się wahać, ażali nie możnaby zachęcić ludzi do hodowania poprawnej rasy dzieci, za pomocą nagród i medalów. Właśnie gdy jedna z Sylfid o cerze niby śnieg białej, recytuje jakiś poetyczny ustęp o niemowlętach, w tem zjawia się posługacz parowca, roznoszący butelki piwa dla spragnionych. Sylfida przerywa deklamację, potrąca mamę siedzącą tuż obok i szepcze do niej:

— Takbym się napiła piwa, mamo!"

O wy Angielki i Niemki, czyż zawsze czerpiecie natchnienie z kufla, jak pewna literatka wiedeńska która mi opowiadała najnaiwniej w świecie, iż wypija trzy „krügle," zanim zabierze się do pisania.

Wystawa kocia mniej była obfita w przygody jak niemowlęca. Poświęcono na nią jedną z galeryi kryształowego pałacu. Tak zaś przypadła do smaku publiczności, iż ściąga dość znaczne tłumy. Maćki i Maciejowe siwe, pstre, bure, czarne i rozmaitej tuszy zapełniają część jedną galeryi—są to koty zwykłej rasy. Dalej widzimy angorskie, o sierci kędzierzawej, spadającej ku ziemi i miękkiej jak jedwab. Większa część tych kotów pochodzi z Hollandyi. Tu bestye tak spasione, iż śpią dzień cały i nie chcą otwierać oczu. Szkoda, bo mają podobno niebieskie źrenice.

Są tu i koty bez ogonów, kurty pochodzące z wyspy *Man*, gdzie jeszcze się nigdy kot z ogonem nie urodził. Szczęśliwa wyspa! wszak jakiś Amerykanin dumał przez długie lata, jakby koty amerykańskie poprawić o tyle, by ich przyroda nie obdarzała ogonami.

Pożytek z takiej rassy widoczny. Wiadomo ci bowiem, polska czytelniczko, że gdy kot wychodzi z pokoju, a ty zamkniesz drzwi za nim przedwcześnie, ogon wyprężony dostaje się w kleszcze, i pisk straszny razi twe nerwy. Niechcąc go nabawiać bólu, tracisz nieraz czas cenny, czekając aż cały ogon za drzwiami, otóż by uniknąć tej straty chciał Amerykanin ów wprowadzić w modę koty bez ogonów.

Przeskok od wystawy kociej do wystawy powszechnej dziwnie się wyda czytelnikom, lecz gdy w Londynie istnieje nieustająca powszechna wystawa i oglądałem ją tegoż dnia co i kocią, trudno go uniknąć.

Do nieustającej powszechnej wystawy, założonej w długich galeryach szkłem krytych, otaczających ogród towarzystwa hortikultury, tuż naprzeciw muzeum kensimetońskiego, gdzie w roku 1862 stała wystawa powszechna, jedziemy z miasta podziemną koleją. Dworce tej kolei leżą po części pod powierzchnią placów szkłem kryte, droga żelazna idzie zaś pod ulicami w ciemnych tunelach. Co pięć minut opuszcza długi pociąg złożony z trzech klas stacyę, i zatrzymując się co minutę na kilka sekund, by podróżni wsiąść lub wysiąść mogli, opędza dokoła północnej części Londynu w trzech kwadransach. Wagony tak doskonale oświetlone, iż czytać w nich możesz, powozy idą gładko i nie trzęsą, a cała jazda dokoła miasta kosztuje tylko 4 pensy.

Kolej ta bardziej mnie zajęła jak wystawa. Po części przesycony wystawą wiedeńską, chodziłem po salach i galeryach londyńskich, li by powiedzieć iż tam byłem. Zresztą oprócz składu kuchni żelaznych rozmaitego rodzaju, i wykładów kucharstwa ludowego, odbywających się tam na korzyść klass uboższych angielskich, nie posiadających i pojęcia jakby przyrządzić swą strawę smacznie a nie drogo, niewiele tam ciekawych rzeczy dla ludzi, którzy już kilka oglądali wystaw. Zakład ten jest raczej wielkim bazarem gdzie fabrykanci zbywają swe wyroby, jak rzeczywistą wystawą powszechną. Reklama spotyka tam widza na każdym kroku. Każdy fabrykant ofiaruje coś na sprzedaż lub zachwala swe towary plakatami.

Koncept jednego z nich, wyrabiającego ręczniki, podobał mi się jednak. Wielkie obrazy wiszące nad stosem ręczników przedstawiają murzyna, ocierającego się tak doskonałym kawałem płótna, iż czerń skóry znika stopniowo. Jeżeli murzyn wytrwa przez lat parę w kupowaniu ręczników z fabryki pana R..., pewno wybieleje zupełnie.

Głównym punktem wystawy jest tak zwana Albert Hall, olbrzymia rotunda, w której ciągle grzmią organy i muzyka koncertowa. Tuż naprzeciw tego gmachu, w Hydeparku, wznosi się pomnik, o którym tyle pisały dzienniki angielskie, wystawiony przez owdowiałą królowę na mauzoleum Księcia Alberta.

Pomnik to ogromny i bardzo kosztowny... na tem skończę szereg pochwał.

Zbywa mu, jak większej części pomników londyńskich, na smaku. Marmur kararyjski dobrym obrobiony dłutem, filary gipsowe i granitowe, złocone dachy i kapitele nie zachwycą widza, jeżeli zbywa całości na estetycznych formach, i gdy razi pstrokacizną.

Ciężka ta spiżowa kaplica w gotyckim smaku, przeładowana ozdobami, posągami i świecidłami dziwnie wygląda na podnóżu, dokoła którego dłuto oddało postacie najznakomitszych rycerzy, malarzy, poetów i budowniczych świata. Co za związek mieli ci zacni sztukmistrze z księciem Albertem? Dlaczego faraonowie egipscy wyryci w towarzystwie Michała Anioła, lub święty Ambroży, stojący tuż obok Rasina i Moliera, opłakują śmierć człowieka, którego nigdy nie znali.

(d. c. n.)

NAMIĘTNOŚCI

WEDŁUG

NAJŚWIEŻSZYCH PRAC DOKONANYCH

W DZIEDZINIE

FIZYOLOGII I HISTORYI NATURALNEJ

przez

Ferdynanda Papillon.

przełożone przez **B. J.**

(Dalszy ciąg.)

1. *The Expression of the emotions in man and animals*, by Ch. Darwin, 1872. — II. *La physionomie et les mouvemens d'expression*, par M. Gratiolet, 2-me édition, 1873. — III. *La Contagion morale*, parle D-r. Prosper Déspine. 1871. — IV. *Le coeur et le cerveau*, par M. Cyon, 187a.— V. Physiologie des passions, par L. Letourneur 1869.

IV.

Jak struna drgająca powoduje drganie przyległych strun, tak widok jakiejś namiętności budzi w jej świadkach namiętność lub dążenie do podobnejże namiętności. Dziecię instynktowo odpowiada uśmiechem na uśmiech matki; ilekroć ktoś uważnie wpatruje się w portret osoby uśmiechającej się, szczególniej w jej uśmiech, trudno bardzo aby sam nie przybrał podobnego wyrazu. Bo, jak mówi p. Leon Dumont, niepodobna abyśmy myśląc o jakimś wyrazie twarzy, i naszej własnej, w pewnej mierze, nie układali w podobny sposób. A cóż dopiero jeźli zamiast myśleć, patrzymy na to! Któż nie wie jak zaraźliwem jest ziewanie, czkawka, westchnienia?

Równie zaraźliwe są czy to dobre czy złe namiętności. Zdaje się, iż pierwszy Esquirol odróżnił i scharakteryzował zarazę moralną, za jaką uważa własność jaką mają namiętności, iż wywołują podobne u osób mniej więcej do nich usposobionych. Zaraza dobrych przykładów jest widoczną, ale, niestety! i złe namiętności również znajdują naśladowców, a naśladownictwo to jest tak śpieszne, tak zupełne, tak poniekąd niezależne od woli, iż możnaby mniemać, że oprzeć mu się niepodobna. Pan Prosper Despine, uczony doktór i znakomity psycholog, który nieustannie bada ten przedmiot, wykazał licznemi przykładami, że gdy tylko gazety rozgłoszą jakąś zbrodnię i towarzyszące jej dramatyczne okoliczności, zawsze w krótkim przeciągu czasu, wydarza się pewna liczba podobnych. Osoby których gruntowna moralność i dobre wychowanie nie ubezpieczają od tego zgubnego pociągu, a drzemiąca w nich namiętność czeka tylko sposobności, aby się zbudzić do życia, bywają pociągnięte i nakłaniają się do spełnienia zbrodni, samym rozgłosem i zajęciem, otaczającem bohaterów sądów karnych. Nader ciekawą, zasmucającą i przekonywającą zarazem, jest pod tym względem statystyka doktora Despine. Jeźli jakiś szczególniej obmyślany sposób zamordowania, nowy rodzaj otrucia lub oryginalny pomysł pozbycia się trupa ofiary, głośnem rozejdzie się echem, niezwłocznie pojawiają się liczne naśladownictwa tychże zbrodni, w takich samych spełnione okolicznościach. Słowem wszelkie zbrodnicze czyny, wywołane nienawiścią, zemstą, chciwością itp. budzą w niektórych jednostkach rodzaj współzawodnictwa, popychającego ich, do pełnienia podobnych. Jakiż stąd wniosek wyprowadzić należy?

Oto, że należałoby bezwarunkowo zabronić ogłaszania spraw kryminalnych, szczególniej w pismach przeznaczonych dla ludu lub przezeń czytywanych; nie dopuszczać książek, w których cała intryga zasadza się na potwornych zbrodniach, i wzbronić przedstawiać na scenie sztuk, w których zgorszenie i skandal jest główną dla publiczności ponętą. Pod tym względem cenzura winna być nader ścisła i surowa.

To żądanie pana Despine popierają wszyscy znakomici doktorzy i higieniści, którzy mieli sposobność przekonać się dowodnie, że pewne pisma i widowiska zaliczają się do przyczyn, doprowadzających tylu nieszczęśliwych do kajdan, samobójstwa, lub domu waryatów. Kto sieje przykłady gwałtów i rozkiełznania, rzecz prosta, że zbierać będzie zbrodnie i szaleństwa. Wszyscy uczciwi ludzie winni popierać to żądanie uczonego doktora, gdyż idzie tu zarazem o moralne i fizyczne zdrowie społeczeństwa. Tegoż samego pragnie pan Bouchut, mówiąc: iż zamiast karmić publiczność tak groźnemi dla ogólnego bezpieczeństwa opowiadaniami i widowiskami, należałoby raczej założyć rodzaj moralnego szpitala i zamykać w nim gorszące przykłady, tak *niezaprzeczenie* zaraźliwe.

Oprócz zarazy jaką szerzą namiętności, wiodące do zbrodni, spostrzeżono, że równie zaraźliwym jest stan namiętnościowy, doprowadzający do samobójstwa. Historya przedstawia nam częste przykłady epidemii samobójstwa.

Plutarch podaje fakt, który za przykład służyć może. W Milecie powiesiła się pewna młoda dziewczyna, i zaraz wiele z jej przyjaciołek tymże sposobem odebrało sobie życie. Chcąc powstrzymać szerzenie się tej strasznej zarazy, musiano aż wydać postanowienie: aby ciała samobójczyń wywieszać obnażone na placach publicznych.

Jeden z dawnych historyków, wspomina o epidemii samobójstwa, grasującej wówczas w Marsylii, w pośród młodych dziewcząt. W roku 1793, w samym Wersalu zdarzyło się 1300 samobójstw. W początkach tego wieku, epidemiczny szał samobójstwa, zabrał wielką liczbę ofiar w Anglii, Francyi i Niemczech, z pośród młodzieży którą czytanie szalonych tragicznych romansów i przedwczesne nadużywanie rozkoszy zniechęciło do życia.

Inna, dziwniejsza jeszcze epidemia dzieciobójstwa pojawiła się w Paryżu w początku bieżącego stulecia, gdy dzienniki rozgłosiły sprawę słynnej dzieciobójczyni, nazwiskiem, Cornier. Dotknięta monomanią dzieciobójstwa, kobieta owa zabiła dziecię własne, a okoliczności towarzyszące temu zabójstwu, tak silnie uderzyły umysł pewnej liczby matek, uczciwych i bardzo kochających dzieci swoje, iż mimo to wszystko ogarniała ich chęć odebrania im życia. Nie uległy jej wprawdzie, ale już sama podobna pokusa zwróciła uwagę i zadziwienie doktorów.

Do tych ciekawych fenomenów dodamy jeszcze fakta zarazy nerwowej, na którą przed kilku laty p. Bouchut zwracał uwagę lekarzy. Od dawna, szczególniej od czasu owych słynnych konwulsyonistów na cmentarzu S. Medarda, wiadomo było, że pewne stany newropatyczne, rozszerzają się przez instynktowe naśladownictwo, lecz p. Bouchut wykazał, iż fakta te częściej daleko się wydarzają niż w ogóle mniemano, a rozprawa w której je opisuje jest nowym, nader dramatycznym przyczynkiem do dziwnych dziejów zboczeń systemu nerwowego.

(d. n.)

O ZGODNYM UKŁADZIE ŻYWIOŁÓW ZIEMI.

X.

Liść.

Liść jest organem oddechowym rośliny i w tym celu ma nadane wszelkie warunki odpowiednie, łącząc jak najściślej piękno z pożytkiem.

Szeroka jego powierzchnia szczególniej ze względu na grubość liścia, przedstawia bardzo wiele punktów zetknięcia z powietrzem. Zewnętrzne pokrycie nadzwyczaj przenikliwe, podtrzymywane jest przez siatkę żyłek, będących podstawą liścia, znajdujących oparcie na jego ogonku, przyczepionym do gałązki.

Układ żyłek bywa niekiedy równoległy, niekiedy gałęziowaty, ale zawsze jednostajny i narysowany wedle prawideł geometrycznych. Żyłki te na jednej stronie są wklęsłe, na drugiej wypukłe, co tworzy wielką różnicę dwóch powierzchni liścia, bo strona zwrócona ku niebu jest gładką, gdy przeciwnie zwrócona ku ziemi jest pomarszczoną czyli chropowatą.

W roślinie również jak w zwierzęciu oddychanie odbywanem jest w sposób mechaniczny, któremu w języku dotyczącym życia roślin, można nadać nazwę pochłaniania i wydzielania. Czynność pierwsza ma za zadanie wprowadzenia do wnętrza rośliny różnych ciał lotnych, posługujący do przerobienia roślinnego soku, a druga przeciwnie do usunięcia pozostałości wynikłych z nastąpionego związku. Dwie strony liścia rozdzieliły pomiędzy siebie te dwa działania; strona zwrócona do ziemi pochłania wyziewy lotne, a strona górna gładka wydziela ciała lotne nie użyteczne dla rośliny. Położenie zatem liścia jest ściśle zastosowanem do potrzeby, bo ziemia wydziela ciała lotne, służące do pożywienia roślin, słuszną zatem jest rzeczą, aby strona gąbczasta ku niej była zwrócona; strona zaś gładka usuwająca z wnętrza roślin niepotrzebne gazy zwróconą być powinna ku słońcu, które jak już wiemy ułatwia wszelkiego rodzaju ulatnianie. Nadto włókna wierzchniej strony liścia powinny być daleko więcej ściśnięte, aniżeli włókna strony dolnej, bo tylko w takim razie roślina może wzrastać odpowiednio do potrzeby, jeżeli przybytek jest znaczniejszym od ubytku. W gorącej szczególniej porze roku zbyt silnemu wydzielaniu muszą być stawione mechaniczne przeszkody, w razie bowiem przeciwnym, działanie chemiczne nie byłoby uskutecznionem należycie, i liść uległby przedwczesnemu zeschnięciu. Zgęszczenie włókna jest ku temu celowi wystarczającem, i dlatego górna strona liścia jest zawsze połyskliwa i oczyszczona, bo najlżejszy powiew wiatru posługuje do zepchnięcia nagromadzonego pyłu, a wklęsłe żyłki tej strony liścia są rynienkami do spuszczenia wody na powierzchnią ziemi. Przeciwnie na odwrotnej stronie żyłki są wypukłe, dając tem samem punkt podpory dla gąsienic i innych owadów, dla których liść służy za pożywienie.

W roślinach wodnych, liście albo są pływające albo też zanurzone w wodzie. W pierwszym wypadku organa oddechowe pomieszczonemi są w górnej stronie liścia, ponieważ strona dolna, spoczywając na wodzie nie zostaje w bezpośrednim stosunku z powietrzem. Jednakże tak wydzielanie jakoteż pochłanianie jest znacznie zmniejszonem, co jest zgodnem zupełnie ze zmniejszonem oddychaniem wszystkich istot, żyjących w wodzie.

Skoro liść zanurzonym jest zupełnie w wodzie, organa oddechowe znikają zupełnie jakoteż wierzchnia skóra. Natomiast włókna jakoteż błona je pokrywająca jest nadzwyczajnie ściśniętą, włocznie aby niedozwolić wodzie wtargnięcia niepotrzebnego do wnętrza rośliny. Skoro liść jest wązki, same prądy wody utrzymują go w należytem położeniu; skoro zaś liść jest gruby, w takim razie próżnie znajdujące się na jego krawędziach wypełnione są powietrzem, czyli że liść zaopatrzonym jest w pewnego rodzaju przyrządy posługujące do pływania. Ma on w tej mierze wiele podobieństwa z rybami, ale zachodzi tu ważna różnica, że jest nieruchomym, że nie może tak jak ryba zejść na dół lub pójść do góry, że musi utrzymywać zawsze jedno i to samo położenie. Jest jednak rzeczą zadziwiającą, że posiada własność oddzielania powietrza od wody i zgromadzania takowego w miejscu do tego celu przygotowanem.

Liście wodne oddają tę ważną usługę roślinie, że kosztem innych swych części, rozwijają nadzwyczajnie siatkę żyłek, owijających się silnie około każdego przedmiotu, mogącego posłużyć za podporę.

Po większej części na wszystkich roślinach stałego lądu, położenie liści jest równoległem do powierzchni ziemi. Inaczej bowiem ciężarem swym zanadtoby przygniatały nawet drzewa tak potężne jakim jest dąb. Tymczasem tak liście jakoteż i żołędzie w ten sposób przytwiedzone są do gałęzi, że znaczna część ich ciężaru znajduje swe oparcie na powietrzu, co przynosi wielką ulgę drzewom, obficie w tego rodzaju ozdobę zaopatrzonym. Liście przez swoje położenie równoległe, stawiają mniejszy opór ruchowi powietrza, ponieważ zwrócone są ku niemu brzegami ostremi. Wzięte razem stanowią jedną rozległą powierzchnię, udzielającą schronienia roślinom i zwierzętom od zbytniego upału lub deszczu. Najmniejszy nawet listek jest osłoną dla miljona żyjątek, niedostrzeżonych gołem okiem.

Chociaż układ liści w ogóle jest równoległym, panuje jednak w tej mierze jak największa rozmaitość. I tak w ostrokrzewie liście zwrócone są więcej ku górze, aby ochraniać kwiat od szkodliwych wpływów zewnętrznych: w funksyi z tej samej przyczyny liście zniżonemi są ku dołowi, odrębny jest układ liści w kasztanie i brzoskwini, jakby dla lepszego uwydatnienia piękności kwiatu.

Liść wyrasta albo na łodydze, albo na gałązkach za pośrednictwem włókien, tworzących ową siatkę żyłek, o jakiej mówiliśmy poprzednio.

Żyłki te ułożone są równolegle we wszystkich roślinach jednoliściowych, szczególnej trawiastych, mających najważniejsze znaczenie w przyrodzie, dla zwierząt a przez nie i dla ludzi. We wszystkich zaś roślinach dwuliściowych żyłki są mniej lub więcej ga-

łęziowate, co jest odpowiedniem do różnego składu łodyg tych dwóch wielkich działów królestwa roślinnego.

U wielu roślin liść wyrasta wprost z łodygi, u innych znowu tworzy pewnego rodzaju pochewkę zanim rozwinie swoją powierzchnię: po największej części jednak oddzielonym jest od swej podstawy za pośrednictwem korzonka rozmaitej długości.

Liść odpowiednio do tego czy jest bezogonkowym, pochewkowym lub korzonkowym, nadaje odmienną postać roślinie, zwłaszcza, że sposób jego osadzenia, kształt i barwa odznaczone są jak największą rozmaitością.

Liście osadzone są na pewnego rodzaju zakrzywieniu, podobnem do obwodu koła lub też do układu szrubowego. Niekiedy okręcają oś, będącą dla nich podporą, to znowu rozdzielone w parach, pomieszczone są na rozmaitych wysokościach gałązki lub łodygi. W każdym jednak razie we wzajemnym ich układzie zachodzi jak największa zgodność... Liście nawet na pozór rozrzucone bez najmniejszego porządku, są ułożonemi wedle prawideł jeometrycznych, bo jakikolwiek liść weźmiemy za punkt wyjścia, to idąc w górę albo na dół od liścia do liścia, nakreślemy zawsze linyę szrubową.

Układ wewnętrzny jakoteż zewnętrzny liścia, jest zgodnym zupełnie z układem łodygi: posiadają one jednostajne naczynia, włókna i błony, tylko postawa ich w łodydze jest prostopadłą, a w liściu równoległą.

Co do swego kształtu liść jest pojedynczy lub złożony, przejście zaś z jednego kształtu do drugiego jest stopniowe. Niekiedy zbliżony jest podobieństwem do kopystki, miecza, igły lub nici jak naprzykład liście właściwe szparagom. Gdzie indziej znowu dostrzeżemy liście podobne do serc jak naprzykład na drzewach lipowych; powoje posiadają liście w kształcie strzał, a liście nasturcyi przypominają staroświeckie puklerze.

Należy nadmienić, że często jedna i ta sama roślina przedstawia jak najrozmaitsze wykrojenia liści.

Jednakżeż po wyczerpnięciu nawet całego słownika naukowego, nie moglibyśmy oznaczyć wszystkich szczegółów, dotyczących rozmaitych kształtów liści. Jeszcze trudniej byłoby wskazać przyczynę tej różnicy i wytłomaczyć jej związek z warunkami, dotyczącemi życia całej rośliny. Nauka jeszcze nie postąpiła tak daleko, ale z czasem dojdzie do tego kresu, bo wszystkie bez wyjątku zjawiska w przyrodzie mają swoją przyczynę łoiczną i swoje następstwa nieuniknione: i często drobne szczegóły pomijane z pewnem lekceważeniem, wywierają ważny wpływ na zgodny układ żywiołów widomego świata.

Kolce tarniny naprzykład pozornie rzeczy biorąc są bez znaczenia, bo chociaż zastosowano ją do ogrodzeń wiejskich, ale podobnego rodzaju ochrona jako sięgająca czasów patryarchalnych coraz więcej znika z postępem cywilizacyi. Nie zapominajmy jednak że prócz człowieka są i inne stworzenia, żyjące na kuli ziemskiej, że kolce tarniny udzielają bezpieczne schronienie dla drobnych ptaszków, ściganych przez jastrzębie.

Te same kolce oddają im jeszcze drugą usługę, bo zawieszone są na nich liszki, mające posłużyć za pożywienie w dniu następnym, tym sposobem tarnina oddaje podwójną usługę drobnym ptaszkom, bo jest dla nich twierdzą i pewnego rodzaju spiżarnią. Przy baczniejszej uwadze możnaby jeszcze wykryć bardzo wiele szczegółów uwydatniających wzajemną zgodność przedmiotów pozornie nie mających pomiędzy sobą najmniejszego związku.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Poezye Stanisława Grudzińskiego. Kraków 1873 r. (nakład autora) in 8 str. 186, oprócz spisu rzeczy i erraty.

Dlaczego dziś poezya, uwydatniona w wierszu rymowym lub rytmicznym dla czytającego prawie żadnego nie ma uroku? Czyśmy tak spoważnieli i sprozaicznieli, iż *mowa bogów* nie zachwyca nas, jak niegdyś... kiedy lada wierszyk dowcipny lub oda szumnemi napisana aleksandrynami były przedmiotem długich rozmów i uwielbień bez końca. Czy w samej rzeczy już nas nie rozpłomienia, co piękne, wielkie, święte, jak to bywało za niedawnego czasu. Czy już na zawsze przeminęła epoka wierszowanych gawęd, które unieśmiertelniły Pola? Czy wreszcie ideały piękna, które bądź co bądź drzemią w duszy najpraktyczniejszego, najracyonalniejszego człowieka, są złudzeniem, mrzonką rozbujałej fantazyi?

Tak źle nie jest.

Natura ludzka może się zmieniać i zmienia się też, modyfikuje, ulegając silnie oddziaływającym na nią wpływom, ale nigdy do tego stopnia, aby w kilkanaście, a jak u nas w kilka lat, stała się zupełnie inną, zaprzeczyła sama sobie.

Twórcza fantazya u przywilejowanych istot, które zwykliśmy zwać poetami, skierowała się w inną stronę, innych form używa do uwydatnienia się w słowie. Powieść zastąpiła dziś i epos i lyrę, a w części i dramat. Gdyby teraz żył jeszcze Mickiewicz, to z pewnością nie napisałby ani *Dziadów*, ani *Wallenroda*, ani nawet *Pana Tadeusza*, lecz obdarzyłby nas powieściami w guście takim, jakie nam daje Kraszewski, Jeż, albo Zacharyasiewicz; i na odwrot ci ostatni, żyjąc wśród ludzi i okoliczności, w jakich zostawali nasi pierwszorzędni wieszcze, rymowaliby w najlepsze... Utalentowane powieścio-pisarki nasze obdarzające nas swojemi lub przyswojonemi utworami, z największą pewnością pisałyby wtedy albo przeróżne poemata, albo rozprawy filozoficzne, i Bogu tylko wiadomo, jakieby zajęły stanowisko w naszej literaturze.

O ile wiersz z całą swoją udoskonaloną, kunsztowną formą *par excellence* uwydatnia poezyę słowa, będąc zawsze obrazowaniem naszych myśli i uczuć, oraz idealizowaniem świata zewnętrznego, wyższym jest od każdej innej formy, mianowicie pod względem muzykalnym i czysto estetycznym; nie myślimy się tu rozwodzić, rzecz to dobrze znana i uznana. Z drugiej jednak strony trudno zaprzeczyć, iż i powieść w wyższem wzięta znaczeniu, wymaga również niepospolitego poetycznego talentu, a jest swobodniejszą od rymowanego słowa, przezroczystszą, i więcej odpowiadającą teraźniejszym potrzebom i usposobieniom ogółu.

Dalekiemi więc od prawdy są ci, którzy z żalem utrzymują, że nie mamy w naszej epoce poetów; owszem mamy i to niezwykłego polotu, lecz nie posługujących się zbyt arystokratyczną formą rymowanego lub rytmicznego słowa.

Bynajmniej nie idzie za tem, abyśmy wierszowaną poezyę mieli za anachronizm, jak chcą w nas wmówić ludzie praktyczni, którzy zaczęli swoją reformę estetyczną od odjęcia samodzielności sztukom pięknym; owszem przeciwnie poezyę taką, jeśli wychodzi po za granice reminiscencyi i naśladownictwa wielkich wzorów, wysoko i bardzo wysoko cenimy, uważając ją za ożywcze źródło, z którego czerpiemy młodość i zapał do rzeczy niekoniecznie dających pieniądz i rozkoszne życie.

Tymczasem... trudno temu zaprzeczyć, ogół czytających zraził się i zniechęcił do rymowanych utworów, czego najlepszym dowodem nasze pisma peryodyczne, które bardzo rzadko, w maleńkich dozach, po troskliwym wyborze, ośmielają się z jakim wierszem wystąpić, i to jeszcze takim, który zostaje w związku z obecną chwilą, bodajby miał to być felieton wierszowany. Żaden księgarz, żaden nakładca nawet najryzykowniejszy, nie zaryzykuje swojego nakładu na wydanie samych poezyi... a jeśli już zdecyduje się na coś podobnego, to na przedruk jakiego arcydzieła z dawniejszego czasu.

A niechaj nikt nie myśli, żeśmy tak ubodzy w poetyczne talenta, iż zdobyć się nie możemy na parę tomików oryginalnych poetycznych utworów. Pomijając inne znaczniejsze miasta, w samej Warszawie przebywa kilku z wyższym talentem poetów, którzy zawiesiwszy lutnię na ścianie, w najprozaiczniejszy sposób zarabiają na kawałek chleba. Czy umilkli oni na zawsze, zrażeni chłodem dzisiejszej publiki, nie umiemy powiedzieć, zdaje się wszelako, wnosząc z ukazujących się kiedy niekiedy po pismach peryodycznych fragmentów, że ich milczenie jest czasowe, okolicznościowe, gdyż świętego ognia w sercu poety, żadna obojętność, żadne szyderstwo wystudzić nie potrafi.

Niektórzy z nich, czy śmielszej natury, czy pod względem fortuny w lepszych, zostający warunkach, puszczają w świat, ma się rozumieć własnym nakładem, utwory swojej muzy, jakby dla zaprotestowania tryumfującemu pozytywizmowi.

Odkładając na dogodniejszą porę rozbiór utworów poetycznych, nacechowanych istnie swojskiemi pierwiastkami, oraz Hejnowsko-satyryczno-liryczne przekłady i naśladowania, zamierzyliśmy dziś powiedzieć słów parę o „Poezyach" St. Grudzińskiego, wyszłych w Krakowie przy końcu zeszłego roku.

Był czas, kiedy na Mickiewiczowskiej plejadzie poetów i wieszczów różnego nastroju zaciążył grzech wielki... grzech nieuctwa. Pomimo bujnej wyobraźni i niepośledniej siły obrazowania, będących istotnem znamieniem poetycznego talentu, zdradzali się oni tak często niewiadomością pierwszych zasad naukowych, iż ani mogli się wznieść po za pewne sfery, ani oddziaływać na ogół, jak byli powinni. Ztąd to, kto wie, czy nie przyłożyli się wiele do zdyskredytowania poezyi w jakie ta obecnie popadła. Wszak to oni głosili, że nauka zabija natchnienie, że refleksya, że pracowite studya, to grób dla poety, itd. itd. Otóż panu G. zarzutu nieuctwa zrobić nie można, a chociaż nie pozuje na rymującego erudyta (a niestety i takich mieliśmy), to wszakże rozumie ducha czasu, wie co się dzieje i działo w sferach naukowych i społecznych; zna gruntownie język ojczysty i nie koszlawi go ani grammatycznemi ani stylowemi dziwadłami, mającemi niby oznaczać styl odrębny, oryginalny. Jeśli pan G. nie naciąga myśli do rymu, albo raczej braku jej rymem nie osłania, to z drugiej strony należy nam się zastanowić, czy posiada swą twórczą fantazyę i siłę obrazowania, o których wyżej wspomnieliśmy, a bez których można być zdolnym, uczonym pisarzem, ale poetą nigdy...

Odpowiedź na to pytanie nie łatwa, bo p. G. owładnął już formą poetyczną, używa jej z całą świadomością effektów, czego dowiódł w dwóch wybornych przekładach z Lermontowa (Demon) i Musset'a (Rolla), gdzie z całą plastyką naszego języka uwydatnił pomysły pierwowzoru.

Pan G. biegłym jest w stylu poetycznym, do takiej doskonałości doprowadzonym przez naszych mistrzów, a to już rzecz niemała. gdyż trzeba tu wielkiej samodzielności, aby w lada wierszu albo obrazku nie być posądzonym o naśladownictwo.

W oryginalnych utworach pana G. postrzegamy łatwość i wprawę w użyciu dykcyi poetycznej (jak mawiali starzy), widoczną jest w nich także lekkość, dowcip i poprawność, lecz prawdziwie twórczej fan-

tazyi, i tej plastyki, co nam obrazy nie wyrazy poetyczne przedstawia, tych dostrzedz nie mogliśmy w całym leżącym przed nami zbiorku poezyi.

U autora refleksya widocznie przemaga nad wyobraźnią, nawet w lirycznych utworach, a tu najzręczniej użyte zwroty i wyrażenia poetyczne nie zastąpią tego bezwiednego zapału, którym nas przejmuje natchnione słowo poety. Przyznajemy, jest to udziałem geniuszów tylko, a pan G. nie jest geniuszem, chociaż byłoby niesprawiedliwością odmówić mu reprodukcyjnego talentu, który go stawia w rzędzie poetów *minorum gentium*, uważających zwykle pisanie wierszy, jako rozrywkę, jako ulgę w zapasach życiowych.

Refleksya przy wyrobionem słowie i pewnej wprawie w uzmysłowieniu oderwanych pojęć, w każdym zawodzie literackim (takie nasze zdanie), daleko pana G. zaprowadzić może, czyniąc go jednym ze zdolniejszych krzewicieli światła w narodzie.

Niejeden z naszych zasłużonych autorów pisał wiersze i wcale niezgorsze od wielu innych, a jednak wyrzekłszy się laurów poetyckich, na innej drodze stał się znakomitym, a co większa pożytecznym dla ogółu pisarzem.

Krytyka nie łaje pana G. nie narzuca mu tej lub innej formy, nie wytyka pewnych niefortunnych wyrażeń, w guście takim:

Serce tęskni, *serce rwie się*
Do szlachetnych wielkich czynów,
Wielkich *wrażeń ofiar chce się*
I zdobiących skroń wawrzynów itd.

z całą życzliwością zastanawia się bezstronnie nad naturą zdolności autora i usiłuje skierować je na pożytek i dobro ojczystej literatury.

Oddawszy, co się należy panu G. jako poecie, nie od rzeczy będzie poznać, jaki jest jego sposób zapatrywania się na dzisiejsze nasze społeczeństwo i na fazę, jaką ona przebywa.

P. G. nie jest pozytywistą, ale nie jest też mazgajowatym idealistą, szuka widocznie tego, co być może, co być powinno, i co, da Bóg będzie. Jego *credo* znajdujemy zaraz na wstępie książki w wierszu zatytułowanym *Fiat lux*, gdzie czytamy:

„Gdzie przesądów starych cień,
„Tam my walcząc na rozumy,
„Lasy głupstwa wytniem w pień!
„I co wieki chodził ciemny
„Przejrzy przez nas biedny lud,
„Błyśnie w głębi blask tajemny,
„Stanie się światłości cud!

Większa część utworów, zawartych w książce pana G. ma charakter społeczno satyryczny, jak *np. Anioł upadły*, pełna humoru *Gawęda przy kominku*, *W inną drogę*, *Dramat na bruku*, a szczególniej pełen ognia urywek dramatyczny *Obłąkani*. Inne wiersze na wpół erotycznej treści nie są bez wdzięku, chociaż niech nam autor raczy darować, budzą w nas pewne reminiscencye... Do nich zaliczamy: *Przebudzenie się serca*, *Moja sąsiadka*, *Rusałka*, a nawet *Kartka z pamiętnika*.

J. Pracki.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ
Z OSTATNICH LAT DWUDZIESTU.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

Od niejakiego czasu piśmiennictwo rossyjskie w nowym bez zaprzeczenia postępowym, zwróciło się kierunku. Piszący zaczęli więcej zastanawiać się nad społeczeństwem, i przejęci współczuciem dla cierpień ludzkości zwrócili baczniejszą uwagę na owe warstwy społeczne, których przedstawiciele byli dotąd tylko przedmiotem pogardy, nienawiści lub postrachu, a przenikliwe ich spojrzenia potrafiły w tych czarnych otchłaniach jaśniejsze wynaleźć punkta. Ofiary losu nie są już traktowane z wyłącznie czułostkowego stanowiska, albowiem powieściopisarze wprowadzający ich do swych utworów, starają się wykazać moralną przyczynę ich postępowania i uczynków, tak więc czytelnik zamiast jałowego współczucia zastanawia się i zapytuje z zimną krwią: dla czego nieszczęśliwe te istoty, nawet mimo nsjszczerszych usiłowań, nie mogą wydźwignąć się z otchłani w jakiej pozostają? Wojna Krymska, która tak silny wpływ wywarła na politykę rossyjską, oddziałała zarówno na wszystkie gałęzie piśmiennictwa. Ciężkie klęski jakie kraj przeszedł, zmusiły do bacznego zastanowienia się nad ich powodami, pisarze zaczęli badać i wykazywać zastarzałe nadużycia, domagając się niezbędnych reform, do których koniecznie przystąpić należało. Był czas, że tendencyjna ta krytyka tak się rozpowszechniła i że tak powiem, tak weszła w modę, iż wszyscy pisarze uważali sobie za obowiązek pisać w tym duchu, nie wyłączając nawet zbyt miernych autorów, zupełnie prawie nie znających owych warstw społecznych w których szukali bohaterów, i w których miały mieć miejsce opisywane przez nich zdarzenia. Zamiast rozpowszechniać abstrakcyjne lub ogólnikowe pojęcia, rozkrzewione na Zachodzie, zaczęto się uciekać do skuteczniejszych środków cywilizacyjnych, to jest do przyswajania najlepszych podręczników i przewodników naukowych, wydawanych w innych językach, oraz popularnych dzieł naukowych, a szczególniej odnoszących się do nauk przyrodzonych.

Przejdźmy po krótce najnowsze utwory piśmiennictwa rossyjskiego, przechodząc po szczególe wszystkie działy, od najlżejszych do najważniejszych.

Powieści.—Poezye.—Sztuki dramatyczne.

Jednym z najlepszych malarzy i dziejopisarzy ofiar losu i jarzma przesądów społecznych, jest Dostojewski autor „*Biednych ludzi.*" Zastanówmy się nad najsławniejszym jego romansem p. n. *Upokorzen i Znieważeni* (1861).

Bohater, Jan Petrowicz, chybiony literat, zakochał się w Natalii, córce bogatego właściciela i pozyskał zezwolenie rodziców. W tem Natalja zakochała się w jakimś nicponiu, a Jan Petrowicz nietylko bez szemrania wyrzeka się jej ręki, ale nadto o ile może dopomaga zakochanej parze. Dostojewski umiejący nader wiernie odtwarzać domowe życie osób wprowadzanych do swoich powieści, znalazł tu zajmujący temat do analizy psychologicznej. Z jakąż to prawdą i znajomością charakterów określa cierpienia swego bohatera, pogardzone uczucie męki jakie przenosi dopomagając rywalowi, i uczucia miłości, zazdrości, dumy, współczucia, złości i nienawiści, miotające nim na przemian. Wszystkie te uczucia autor przedstawia w formie dość szczegółowego i ożywionego opowiadania, które włożył w usta Jana, a pomysł to oryginalny i dość trudny do wykonania. W tym romansie są portrety dobrze narysowane, charaktery wiernie oddane i utrzymane, jednakże wiele ustępów przypomina *Biednych ludzi* i te same obejmują szczegóły. Obok tego. Dostojewski napisał wiele nowelli, których bohaterowie podobni są do Jana Petrowicza, a w roku 1862 wydał bardzo zajmujący romans p. t. *Pamiętniki z domu umarłych*, dotykający wielu nader ważnych kwestyi. Od owej to chwili pojawiły się w piśmiennictwie rossyjskiem nowe typy nieszczęśliwych bohaterów, (jak np. w powieściach Poniatowskiego) którzy obdarzeni silną wolą, wypowiadają zaciętą walkę prześladującemu ich losowi, nie chcąc bez oporu poddać się ciężkiej doli swojej.

(d. c. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani J. Z. w Gawlinie. Żądane książki wysłaliśmy: sprawunki jak tylko wykończone zostaną natychmiast prześlemy. Co do zapytania zgadzamy się zupełnie na zrobioną uwagę, że pisma peryodyczne powinny koniecznie, jako obsługujące większą liczbę czytelników, niż dzieła osobno wydane, pilnować zasad, stanowiących podstawę społecznego porządku. Można o szkodliwem lub błędnem ich stosowaniu rozumować, ale nie godzi się poniewierać niemi i lekceważyć.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. I Ubranie wizytowe. Suknia jedwabna koloru cynamonowego, pod spód spódnica aksamitna w ciemniejszym odcieniu. Stanik kaftanikowy ozdobiony aksamitem, podszyty przy szyi krezą tiulową. Kapelusz z jedwabnego rypsu koloru sukni, ubrany aksamitem, piórem strusiem, i klamrą lawową.

Fig. 2-ga Ubranie do pierwszej Komunij Ś-tej. Suknia czarna jedwabna powłóczysta. Stanik francuzki z karoczkiem, garnirowany koronką i pasmanterją. Kreza jedwabna podgarnirowana krezą tiulową.

Przyjaciela dzieci N. 14 wyszedł z druku i zawiera. Zatoka i port Bostonu (z ryciną).—Rozmowa (Wiersz ofiarowane, Zosi Z. przed jej pierwszą Komunija), przez A. F.— Dwie gwiazdki, przez Teresę Jadwigę (ciąg dalszy).— Powrót Ryszarda I go (drzeworyt).— Listy z Wakacyi.—Czyny nauczające.— Rozmaitości.—Odpowiedzi Redakcyi. —Szarada.— Zadanie arytmetyczne.— Znaczeni Szarady.— Rozwiązanie zadania.—**W dodatku:** Powrót Ryszarda I-go z Wyprawy Krzyżowej. (Ciąg dalszy).

Cena w Warszawie kwartalnie kop. 75. Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą pocztową rs. 1.

Adres przesyłając na prenumeratę: Do J. K. Gregorowicza ulica Żabia N. 956.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.